

Eugeniusz Szeliga

Eugeniusz Szeliga – Sybirak i rzeźbiarz ludowy

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 11, 361-388

2004

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Eugeniusz Szeliga
– Sybirak i rzeźbiarz ludowy

Wspomnienia znad Irtysza

Rodzina

Urodziłem się w rodzinie wieloletniej. Ojciec Józef Szeliga pochodził ze Skierniewic; przewieziony służbowo w 1920 r. jako policjant na kresy wschodnie. Pełnił służbę w Hruzdowie na Wileńszczyźnie. Tu pojął za żonę mamę – Olimpię z domu Rębalską. Wkrótce urodził się im syn Czesław, a później córka Marysia. W jakiś czas potem pojawił się Jan, no i w dniu 4 października 1928 r. ja, Eugeniusz. Chwilowo byłem ostatnim dzieckiem moich ukochanych rodziców.

Życie rodziców przypominało wędrówkę Cyganów. Bowiem Ojciec służbowo był przenoszony z miejscowości jednej do drugiej, z Hruzdowa do Wołkołotów, następnie do Daniłowicz, z których musiał się wyprowadzić do Łuczaja w powiecie Postawy. A ja jako czwarty z kolei urodziłem się w Hawryłowiczach. W latach 30. los rzucił nas do miasta Postawy. Pojawiają się dalsze dzieci. Rodzi się moja siostra Lidia (?), wkrótce naszą gromadkę uzupełnia Celina, a następnie Fryderyk i Adam. Jesteśmy w komplecie. Razem 10 dusz.

Życie nasze było trudne. Ciągłe zmiany mieszkań – to w jednym końcu miasta, to w drugim. W sumie do 1934 r. naliczyłem 10 zmian mieszkań.

Postawy

Miasto Postawy liczyło ponad 10 tys. mieszkańców¹. Urzędował tu starosta i wójt gminy. Spokoju strzegła policja, która miała tu siedzibę powiatową. Dworzec kolejowy łączył je z Wilnem i światem. Stał też pułk kawalerii oraz 23 pułk Ułanów Grodzieńskich. Miasto dzieliła na dwie części rzeka Miadziołka. Obie części grodu spinał most drewniany, który posiadał

¹ Miasteczko liczyło z górą 3 tys. mieszkańców. „Rocznik Ziemi Wschodnich” z 1938 roku nie wymienia go wśród miast Kresów Wschodnich. Cały powiat postawski liczył 99 900 osób. W Postawach był kościół parafialny w stylu gotyckim wzniesiony w 1938 roku.

śluszę spiętrzącą wodę dla potrzeb młyna wodnego. W centrum miasta był rynek w kształcie czworoboku. Na środku stały stare sukiennice, które zajmowały sporą jego część. W piątki odbywały się tam jarmarki. Z okolicznych wsi zjeżdżało się mnóstwo chłopów, by sprzedać swoje płody. Duchowe potrzeby zaspokajał kościół katolicki i dwie cerkwie. Stała również nowoczesna synagoga, w której modlili się Żydzi wyznania Mojżeszowego. Miasto oświetlała mała elektrownia, przy której był i tartak, i młyn zbożowy. Ludność składała się z Polaków, Białorusinów no i Żydów².

Od strony północnej i wschodniej rozciągały się lasy, które były urodzajne w grzyby, jagody czarne i borówki. Każdy mieszkaniec mógł się zapatrzeć na zimę we wszystkie te płody leśne. Robiono też zapasy drewna na zimę. Ubodzy nosili na plecach wiązki chrustu i suchych gałęzi. Po stronie zachodniej były trzy jeziora. Nazywały się one – Czarne, Białe, no i jezioro Zadzie...(?). Letnią porą było gdzie zażywać kąpieli wodnej i słonecznej.

Miasto stale się rozrastało. Budowano domy czynszowe. Zbudowano szpital. Postawiono nowoczesną rzeźnię. Była ona zmechanizowana, bo stara rzeźnia była zacofana, niehumanitarna.

Jako niesforny chłopak chodziłem z koleżkami po bunkrach z pierwszej wojny światowej. Zbieraliśmy w nich mnóstwo naboju karabinowych i pocisków artyleryjskich. Pewnego razu, grzebiąc w hałdzie piasku, wygrzebaliliśmy czaszkę jakiegoś żołnierza. Okazało się, że kula karabinowa jeszcze była w środku. Pewnego razu [do domu] przynieśliśmy pocisk armatni. Na szczęście Ojciec zauważył i przerwał nam tę niebezpieczną zabawę.

Wojna

Nastał rok 1939. W szkole urządzano próbne alarmy lotnicze. Uczono nas szybkiej ewakuacji. Po lekcjach obok szkoły budowaliśmy schrony przeciwlotnicze. Miałem wtedy niecałe 12 lat. Wszędzie mówiono, że wojna wisi na włosku. Jacyś falangiści i narodowcy wzywali do prześladowania Żydów. Rozklejali hasła: „bij Żyda”, „nie kupuj u Żyda”, „Żydzi do Palestyny”. Przed sklepami żydowskimi stały pikiety broniące dokonywania zakupów. Starszy ludzie opowiadali makabryczne historyjki. [Twierdzono], że porywali chrześcijańskie dzieci i osadzali je do beczki nabitej gwoździami. Następnie taczano ją, a uzyskaną w ten sposób krew używano do pieczenia macy³ potrzebnej im na święto [ku czci] wyjścia z Egiptu. Tak się składało, że miałem

² W 1931 roku w powiecie Postawy język żydowski był językiem ojczystym dla 2 200 osób (P. E b e r h a r d t, *Przemiany narodowościowe na Białorusi*, b. d., s. 79).

³ Maca z hebrajskiego massah; placek z niekwaszonego ciasta.

kolegę Żyda [o nazwisku] Sznajal Gendel. Razem chodziliśmy do szkoły. On mówił, że to fałsz, który głoszą źli ludzie by ich prześladować. Jego ojca też dobrze znałem. Zajmował się on handlem końmi. Z tego utrzymywał rodzinę. Ojciec mój Józef nie był rasistą i pozwalał się kolegować. Żydzi byli spokojni i gościnni. W soboty prosili, aby im zapalili pod kuchnią ogień⁴.

Histeria wojenna narastała. Niemcy żądają korytarza przez Polskę. W Gdańsku Niemcy spod znaku swastyki wzniesają bijatyki. Przygotowują różnego rodzaju prowokacje, aby mieć pretekst do najazdu na Polskę.

Mój brat Czesław już drugi rok jest w orkiestrze przy 23 pułku Ułanów Grodzieńskich w Postawach. Nastaly wakacje. Moja najstarsza siostra Maria wyjeżdża do cioci w Warszawie. Ciocia Hajda mieszkała przy ulicy Chmielnej. Marysia pozostała tam już na zawsze. Brała udział w Powstaniu Warszawskim. Los chciał, że poświęciła swoje życie w 1944 r.

Pierwszego września 1939 r. głośniki radiowe zawieszane na rynku powiadomiły, że Niemcy napadły na Polskę. Powstał chaos i panika. Ludzie rzucili się do wykupywania żywności. Robili zapasy soli, cukru, mąki i ropy. Kończył się okres sielankowego życia i względnego spokoju. Ogłoszono mobilizację. Widziałem, jak matki i żony żegnały swoich synów i mężów. Na dworcu kolejowym był tłok. Każdy miał się stawić do swojej macierzystej jednostki. Rekwirowano ciężarowe samochody i najlepsze konie chłopskie.

Mój brat [Czesław], jego kolega Stanisław Jasiukiewicz i wielu innych młodocianych z orkiestry poszli wraz z pułkiem na wojnę. Z późniejszych relacji było wiadome, że ten pułk gdzieś w lasach Parczewskich został zdsiatkowany i rozbity przez lotnictwo niemieckie.

Na rynku w Postawach głośnik nadawał najnowsze wiadomości. Minister Bek [Beck] mówił, że „nie damy ani guzika”. Stało się inaczej. Ogłaszano alarmy dla miasta Warszawy. Słyszałem komunikaty z bohaterskiej obrony Westerplatte. [Żołnierze] walczyli [tam] osamotnieni, bez żadnego wsparcia. Niemcy byli już u wrót Warszawy. Ze wschodu nadchodzi druzgocąca wieść. 17 września bolszewicy ruszyli na Polskę, zadając cios w plecy. Dowództwo polskie nakazało nie walczyć z Rosjanami. W mieście powstała panika. Policja zaczęła uciekać gdzieś w kierunku Rumunii. Inteligencja rozmyślała co robić, gdzie znaleźć miejsce bezpieczne. Mój ojciec Józef był już na rencie inwalidzkiej i zajmował się stolarstwem oraz bednarstwem. Postanowił nigdzie nie uciekać. Okazało się to dla niego zgubą.

⁴ Szabat (sobota) jako ostatni dzień tygodnia był u Żydów świętem, a tym samym dniem bez pracy, dniem poświęconym wyłącznie Bogu.

Pierwsze czołgi w Postawach pojawiły się na ulicy Wileńskiej. Widziałem, jak tłumy ludzi witały tych pierwszych przybyszy. Co śmielsi Żydzi i Białorusini włązili na czołgi z kwiatami w rękach. Wygłaszali powitania mówiąc: „Towariszczi, my Was ażydali 20 lat. Wot nas uwalniacie od pańskich Polaków”. Czołgiści nie okazywali większego entuzjazmu. Później opowiadali nam, jak ich w tej Rosji dręczono, jak wyszukiwano, źle opłacano i głodzono. Mówili, że te ich pięciolatki zadreślały obywateli. Po zajęciu miasta stworzyła się jakaś [organizacja] Białorusinów z karabinami z czasów Napoleona, z opaskami czerwonymi, robili porządek i ustanowili władzę. Słyszało się wypowiedzi, że będą panów strzelać i wieszać. Choć wiadome już było, że większość panów uciekła z Postaw. Pozostawili swoje pałace i mienie na łaskę „czerwonych przybyszy”. Armada „czerwonych dzieci” przeciągnęła przez nasze miasto w kierunku Wilna. Tak dokonał się zabór części Polski. Zabór ustanowiony przez pakt Ribbentropa i Mołotowa. W mieście nastał czas czystki. NKWD przystąpiło do swojej roboty. Mieli przygotowane listy kogo mają w pierwszej kolejności aresztować. Trzeciej nocy okrążyli nasz dom. Ojca Józefa aresztowano. Nie pozwolono pożegnać się z dziećmi. Tylko Matka przy tym była. Podczas rewizji szukali broni i dokumentów, jakie miał Ojciec. Przeglądali albumy ze zdjęciami. Trafili na zdjęcie mojego brata w paradnym stroju orkiestry pułkowej. Zapytali Ojca „szto eto za gienerał”. Od tego czasu Ojca już nigdy nie widziałem. Rano przychodzili znajomi pytając „czy u was byli”. Odpowiadaliśmy, że „byli bo Ojca zabrali”. Były to rodziny: Kwietnie, Ciężarkowie, Zielińscy i wielu innych. Mężowie tych rodzin uciekli gdzieś do Rumunii. Później okazało się, że Moskale grupę Policjantów [z Postaw] przechwycili i gdzieś pod Smoleńskiem jakiś czas trzymali w obozie jako internowanych. Rodziny ich wciągnięto na listę zsyłki na Sybir. Ojciec mój jakiś czas siedział w Berezwechu, w klasztorze który został adoptowany na więzienie. Jakiś czas Mama miała kontakt z Ojcem, aż nie został wywieziony gdzieś pod Smoleńsk.

Zaczęły krążyć pogłoski, że NKWD przygotowuje się do deportacji całej inteligencji [zamieszkałej] w Postawach. Nastał czas wyczekiwania. Kto mógł, to zmieniał adres lub wyjeżdżał w inne okolice. Pewnej zimowej nocy zastukał ktoś do okna. Mama otworzyła je i wyjrzała. Jakiś człowiek w łachmanach stał i drżał z zimna. Okazało się, że brat Czesław wrócił z frontu. Dlaczego tak długo wracał? Otóż dostał się on po długiej tułaczce do Wilna. Tam Rosjanie przechwycili go i wywieźli do Rosji, do obozu internowanych. Było tam, opowiadał, mnóstwo oficerów polskich. Tam każda osoba przeszła dokładne przesłuchanie. Brata jako niepełnoletniego potraktowano ulgowo. Po kilku tygodniach kazano wracać do rodziny. Jesteśmy prawie w komplecie. Brak Ojca i siostry, która została w Warszawie.

Rządy okupanta

Styczeń-luty 1940 r. – NKWD rozprawiało się z osadnikami wojskowymi. Zwożono te rodziny na saniach ciągnionych przez konie [i wyładowywano] je na dworcu kolejowym w Postawach. Widziałem zmarznięte dzieci. Na dworcu czekały towarowe wagony. Pilnowali ich czerwoarmiści, aby ktoś nie uciekł do lasu. Obok dworca rozciągały się bory sosnowe, którymi można było dojść aż do granicy rosyjskiej. Pierwsza fala wywózek minęła.

W Postawach rozeszła się wieść, że teraz wezmą się za rodziny policjantów, nauczycieli i urzędników państwowych. Zaczęliśmy robić zapasy żywności. Utworzyły się kolejki po żywność, mydło, sól, cukier. Naraz wszystkiego zabrakło. Władze sowieckie dokonywały rewizji u kupców pod pozorem ukrywania przez nich towarów na czarną godzinę. Naftę do oświetlenia trzeba było „zdobywać” u ruskich kierowców. Nieraz zachodzili do nas wojacy, przynosząc chleb i kaszę z kuchni polowej. Litowali się nad nami. Dziwili się dlaczego, Ojca aresztowano, gdy u nas tyle dzieci, i to małych.

Rosjanie zaczęli swoje rządy. Organizowali różne instytucje. Otwierali szkoły, w których uczyli ich nauczyciele. Zaczął obowiązywać język rosyjski. Ja uciekłem ze szkoły. Nie chciałem uczyć się po rosyjsku. Organizowali życie kulturalne. Przyjeżdżały zespoły teatralne i taneczne. Wyświetlali filmy propagandowe. Rozrzucano broszury i ulotki szkalujące panów polskich. Opisywano, jak to panowie wyzyskują robotników; była to ulotka jak siedzi gruby pan na bryczce ciągniętej przez chłopów. Zwoływali mityngi propagandowe. Przypominali, że oni nas wyzwolili z jarzma panów. Na pewnym mityngu wystąpił raz Polak w podartych spodniach. Chwalił sowietów za wolność. Na zakończenie powiedział: „jak nie było sowieta, nie widziała żopa święta. Jak przyszał sowiet uwidziała, żopa świet”. Następnie majestycznie odwrócił się tyłem do [zgromadzonych], pokazując goły tyłek.

Lotem błyskawicy rozchodziła się wieść, że Rosjanie już przystąpili do zakładania kołchozów. Zajmowali folwarki, zabierali bydło i konie. Jeżeli gospodarz stawiał opór, to grozili zsyłką na Sybir.

W drodze na Sybir

Nastał pamiętny dzień 13 marca 1940 r. Dom nasz otoczyło wojsko. Na dworze było jeszcze ciemno, gdy zastukano do drzwi. Mama wystraszyła się. Dzieci podniosły płacz. To już koniec z nami. NKWD wkroczyło do mieszkania. Surowym, rozkazującym tonem [zakomunikowano]: „Macie piętnaście minut na spakowanie rzeczy”. Matka odrętwiała na chwilę, zaniemówiła. W końcu oprzytomniała i zapytała enkawudzistę, dokąd nas chcecie zabrać

i na jakiej podstawie. „Czto my wam dzieleli?” – pytała. Oficer odrzekł: „zabieram was na rodinu”. Po chwili sprostował, dodając: „Nasze prawitelstwo zsyła was na Sybir, na pięć lat”. W tym czasie moja rodzina składała się z Mamy i siedmiorga rodzeństwa. Mama kazała ubierać się we wszystkie ciuchy, aby każdy z nas miał na sobie wszystkie swoje przyodziania. Do worków i tobołków pakowano pościel i przedmioty codziennego użytku. Obserwujący to z karabinem na plecach wojak mówi: „Na szto wam letnije wieszczy. Tam wsio jest”. Jego towarzysz natomiast szepnął Mamie do ucha: „Wsio bieritie. Tam wsio wam prydacsia”. I tak spakowaliśmy wszystko co niezbędne; pościel, obuwie, żywność. Samochody czekały pod domem. Do mieszkania wpadł enkawudzista po cywilnemu. Na nogach miał buty „oficerki” wyglansowane do połysku. Ubrany był w skórzaną kurtkę. Rozkazał: „Wsio uże zagrużajcie na maszynu”. Pod domem zebrali się znajomi i sąsiedzi by nas pożegnać, a jednocześnie wziąć to, co po nas zostało.

Dowieźli nas do dworca kolejowego. Stał tam długi zestaw bydlęcych wagonów. Wszędzie było pełno żołnierzy ruskich, których głowy okrywały szlomy (hełmy) z czerwoną gwiazdą. Zadaniem ich było uniemożliwić ucieczkę, zwłaszcza iż las był pod nosem. Zaganiano nas do wagonów. W wagonach były półki na wysokości metra. Bagaże [składaliśmy] pod półkami, a pościel na pryczach. Dowożono dalszych. Tak trafili do nas znajomi i nieznajomi. W sumie ponad 50 osób. Zaryglowano drzwi. Czekaliśmy na dalsze wydarzenia. Ja nie przejmowałem się sytuacją. Raczej cieszyłem się, że po raz pierwszy znalazłem się w pociągu. Dla mnie jako dziecka była to wielka przygoda. O północy ruszyliśmy w nieznaną. Wagon trzeszczał, a koła na złączach szyn wystukiwały rytm. Początkowo liczyłem połączenia szyn, aż w końcu znużony usnąłem. Przez sen słyszałem, jak matki modliły się i śpiewały pieśni kościelne; „Pod Twoją obronę”, „Boże coś Polskę” i inne. Jechaliśmy parę tygodni. Na większych dworcach staliśmy nieraz cały dzień. [Często] obok naszego składu stały inne transporty z Polakami. Krzyczeliśmy do nich: „Skąd wy”? Oni [zaś] pytali: „Skąd wy?” Byli ze Lwowa, Tarnopola, Białegostoku, Lublina i Wilna. Przy takich postojach konwojenci otwierali drzwi i polecali wychodzić z wiadrem po zupę i chleb. Nieraz dawali „kipiatok”, czyli gorącą wodę na herbatę. Po każdym postoju przeliczano nas, sprawdzając, czy ktoś nie uciekł. W Tule zaprowadzono nas do „bani” [łaźni]. I tak nasz transport został wykąpany i odkażony. Nasze ubrania przeszły przez komorę o wysokiej temperaturze.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Przed nami ukazały się góry Ural. Wkroczyliśmy do Azji. Wjechaliśmy w stepy. Gdzieś na pustkowiu zawieźli nas na boczny tor. Transport się zatrzymał. Wojskowi pootwierali i kazali wy-

chodzić. W pierwszej chwili obleciał nas strach. Pytaliśmy siebie, co oni chcą z nami zrobić. W końcu powiedzieli, że na kilka godzin możemy iść w step, na spacer. Wysypali się Polacy i rozeszli się po stepie. Potworzyły się grupki młodzieży. Zaczęli grać na różnych instrumentach i śpiewać różne żartobliwe piosenki. Po kilku godzinach parowóz zaczął „trąbić” i zwoływać do wagonów. Przed każdym wagonem stał wojak i liczył dokładnie [powracających]. Okazało się, że w pewnym wagonie zabrakło

jednej osoby. Postój przedłużył się. Szukano jej. Nie znaleziono. Przepuszczalnie uciekł celowo. W późniejszych czasach rodzina jego otrzymała wiadomość, że udało się mu uciec i wrócić do kraju. Przed nami końcowa już droga i miasta Pietropawłowsk oraz Tatewka. Końcowa stacja Pawłodar, leżący nad rzeką Irtysz.

Jesteśmy w zachodnim Kazachstanie. [Humory] nam się poprawiły. To jeszcze nie [rdzenna] Syberia. Z okien pociągu widzimy ruch na stacji. [Wszędzie] Kirgizy skośnookie. Przyglądają się nam dość przyjaźnie. Za chwilę podjeżdżają ciężarowe samochody. Załadowują nas i wiozą do centrum Pawłodaru. Wjeżdżamy przez bramę. [Dojeżdżamy] do obszernego placu, na którym stoją przygotowane dla nas wojskowe namioty. Był to plac targowy. Posłużył on nam jako punkt etapowy.

Nastał początek kwietnia 1940 r. Pogoda nam sprzyjała. Gromadziliśmy się w grupy. Zapoznawaliśmy się z różnymi Polakami. Młodzież chodziła od namiotu do namiotu grając przeboje z lat trzydziestych. Okazało się, że wielu zabrało ze sobą skrzypce, mandoliny, bałałajki i harmoszki. Było nam wesoło i radośnie.

Kazachstan

Pawłodar [usytuowany był] na wysokim brzegu Irtysza. Lewy jej brzeg przechodził w wielką dolinę, a następnie w step.

Po paru dniach sielanki na plac wjechały ciężarówky z wojakami. Załadowano nas i zawieziono [nad] Irtysz. Kobiety wpadły w panikę. Krzyczały: „Szto wy chociecie nas patopić w Irtyszu. Łuczsze nas rozstrelajtie”. Wojacy odpowiadali: „Puli na was żałko”. Później okazało się, że czekają na nas barki. Załadowano nas i powieziono w górę rzeki. Płynęliśmy jedną dobę pod prąd do miasta Jarmak. Było to stare miasto rejonowe. Tam już czekały samochody. Porozwożono nas do kołchozów.

Moja rodzina trafiła do kołchozu im. Stalina. Była to nieduża, lecz starz osada kirgiska. Rozlokowano nas rodzinami po domach. Parę dni spędziliśmy na wypoczynku. Rozglądaliśmy się po wsi. Wiosna w pełni. Piękna, słoneczna pogoda. Kirgizi dziwili się, że nas przywitała taka piękna wiosna.

We wsi był jeden sklep. Znajdowało się w nim trochę [artykułów] pierwszej potrzeby. Ci, którzy mieli ruble, kupowali cukier, mąkę, sól, no i mydło do prania. To były pierwsze wolne zakupy. Po paru dniach nic już w sklepie nie można było kupić. Brakło towaru.

Poza osiedlem stały jakieś dziwne okrągłe budowle z niewypalonych cegieł. Miały otwór, którym można było wejść do środka. Okazało się, że to cmentarz Kirgizów, rodzaj ich grobowców. Leżały na wierzchu czaszki i kości ludzkie. Oglądaliśmy to całą gromadą. Naraz powstał wielki krzyk we wsi. Stara Kirgizka zaczęła na nas krzyczeć i wymachiwać rękoma. [Domażała się], abyśmy opuścili to święte miejsce. Wróciliśmy do domów. Jeden z nas pobierał kości z palców ludzkich i schował do kieszeni.

Po południu przyszedł Kozak i nakazał Polakom pójść na „farmę mleczną” po mleko. Każda rodzina winna była mieć naczynie. Farma znajdowała się w odległości dwu kilometrów od kołchozu. Zebrało się około piętnastu młodych z wiadrami. Na farmie musieliśmy czekać. Mleko należało przepuścić przez centryfugę /wirówkę/ w celu odciążenia śmietany. Trwało to zbyt długo. Zastała nas ciemna noc. Wracamy do domów. Zagubiliśmy jednak drogę. Coś nas prowadziło po stepie i nie mogliśmy trafić do kołchozu. Droga gdzieś „zaginęła”. Na niebie świeciły wyraźnie gwiazdy, wokół całkowita cisza, a my błąkami się. A przecież w kołchozie są psy. Żaden z nich nie szczeka. Chłopcy po wojsku uspokajają nas, widząc nasze przerażenie. Polecili pobrać się za ręce i utworzyć tyralierę. Mieli nadzieję, że w ten sposób odnajdziemy drogę i dojdziemy do domu. Ale to wszystko okazało się daremne. W końcu polecili zatrzymać się i przeczekać noc. Wystawili straż. Tak zastał nas świt. Okazało się, że spaliliśmy obok zabudowań [osady]. Matki nasze nie spały w oczekiwaniu na nas i na mleko. Twarze miały splakane. Sądziły, iż my zaginęliśmy. To co nam się przydarzyło tłumaczyliśmy jako karę za to, że jeden z uczestników wyprawy na cmentarz zabrał ludzkie kości, które przez cały czas trzymał w kieszeni. Byliśmy przekonani, że to duchy Kirgizów nas omamiły i prowadziły po bezdrożu. Kolega, który to uczynił natychmiast odniósł je na cmentarz i z szacunkiem złożył w „grobowcu”.

Pewnego pięknego dnia wybraliśmy się całą paczką młodzieży nad pobliską rzekę. Był to [dopływ] Irtysza. Na niekoszonych łąkach tkwiły wysokie i suche trawy. Jeden z nas zapalił papierosa. No i stało się. Ogień wokół nas szalał. Przenosił się lotem błyskawicy. Powstał wielki pożar. Przystąpiliśmy do gaszenia „wiklinowymi” gałęziami, aby nie dopuścić do spalenia pobliskiej zimowej bazy dla owiec. Kirgizi zorganizowali całą wieś i przystąpili do gaszenia. Z pomocą nadszedł wiatr, który skierował ogień w kierunku rzeki. Baza została uratowana. Nam natomiast zakazano wypraw i

nakazano trzymać się wsi. Następnego dnia zebrano Polaków na naradę. Z młodzieży utworzono brygadę polową.

Wiosna w pełni, a prace polowe były opóźnione. Zrobiono z nas oraczy. Brygada stacjonowała w odległości 10 kilometrów od kołchozu. Zakwaterowano nas w świetlicy. Spaliśmy na słomianych siennikach ułożonych na żelaznych łózkach. Dostaliśmy po bochenku chleba, no i kwaśne mleko. Brygadzysta zapowiedział, że „podjom” [pobudka] będzie przed wschodem słońca. Zaprowadzili nas na pole orne, gdzie czekało już stado wołów. Obok znajdowały się pługi z uprzęgą dla trzech par tych zwierząt. Polecono nam chwycić woły i zaprzęgać w jarzma. Kirgizi szybko sprawili się z zadaniem. My natomiast nie potrafiliśmy nawet doprowadzić wołu do jarzma. Tubylcy zaczęli się z nas śmiać. Nabijali się, że nie będzie z nas dobrych robotników. Ostatecznie przyszedli nam z pomocą. Pouczyli, które woły winny chodzić na przędzie, a które w bruździe. Radzili nam zapamiętać przeznaczenie poszczególnych zwierząt. I tak zaczęła się nasza pierwsza orka. Każdy dostał do ręki długi bicz na krótkim trzonku. Trzeba było długo ćwiczyć, żeby samemu tym biczem nie oberwać. Mimo to zdarzało się, że sam tym batem uderzałem się po twarzy. Ręce puchły nam od ciągnięcia lejc i machania biczem. Chcieliśmy nadażyć przed Kirgizami. Ta swoista rywalizacja trwała około tygodnia. Trudna to była harówka. Pługi były dwuskibowe, a pola bardzo długie. Było dobrze, jeżeli udało się zrobić dwa okrążenia do obiadu i dwa po obiedzie.

Niespodziewanie dla nas przybył jakiś ważny „Kozak” i nakazał wszystkim Polakom wracać do rodzin we wsi. Okazało się, że czeka nas dalsza droga. Pożegnaliśmy sympatycznych Kirgizów. Wiozą nas stepami. Mijamy różne chutory oraz ruiny osiedli pamiętających dawne, carskie czasy. Po pewnym czasie znudził się nam bezkresny step, na którym pasły się stada dwugarbnych wielbłądów i owiec. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, dotarliśmy do sowchozu Dżołkoduk. Był to początek maja 1940 r. Dowiedzieliśmy się potem, iż nazwa ta znaczy tyle co studnia przy drodze. Samochody podjechały pod dużą murowaną stodołę. Tam kazano nam się rozlokować na ziemi usłanej słomą. Przywitali nas Polacy, którzy już wcześniej zostali tu przywiezieni z Woropajewa, Głębokiego, Lwowa, Tarnopola i Stanisławowa. Następnego dnia po przyjeździe poczęto formować z nas brygady budowlane. Zadaniem naszym było wznoszenie obór dla bydła. Wykonywano je z dużych surowych, suszonych na słońcu cegieł. Surowiec na cegły robiono w płytkim dołku o kształcie koła, do którego lano wodę i wrzucano glinę z drobno pociętą słomą. Następnie wpędzano w to miejsce woły, które deptały tak długo, aż glina była gotowa. Następnie formowano bloczki, które były

bardzo ciężkie. Należało je układać w stożki przypominające niewielkie piramidy. Moja Mama przy tym musiała ciężko pracować.

Najstarszy brat Czesław otrzymał zadanie wypasania wołów. Całą noc musiał ich pilnować, by nie weszły w szkodę. Rano przypędzał je na plac budowy, gdzie używane były do transportu i innych prac. Ja musiałem pomagać bratu w ich nocnym pilnowaniu.

Nasze Polki, które nigdy ciężko nie pracowały, nauczyły się różnych zawodów budowlanych. Od tego zależało, czy otrzymają z kawałki solonej baraniny.

Kilkoro naszej młodzieży i starszych Polek „dzied” Liwajew. Był to niedoszły ksiądz prawosławny, który prowadził gospodarstwo warzywne. Szykował on rozsądę pomidorów, kapusty, kawonów, melonów, ogórków i tabaki. Sadzili również kartofle. Zimą Polacy byli zatrudniani w piwnicach przy szatkowaniu kapusty, kiszeniu ogórków, sortowaniu pomidorów, kartofli bądź tabaki. Dzieduszka Liwajew był człowiekiem współczującym dla Polaków. Przymykał oczy na fakt wynoszenia przez Polaków niewielkich ilości warzyw. Wiedział, że czynią tak, aby niewolę i zsyłkę. Za branie rzeczy „kazionnych” [państwowych] surowo karano. Dzied nigdy nie zrobił donosu choć był do tego zobowiązany.

Najtrudniej było przetrwać zimę. Ciężko było ze zdobyciem żywności. Często zdarzało się, że nie otrzymywaliśmy „pajku”, czyli przydziału chleba, który ratował przed głodową śmiercią. Bywało, że przez tydzień należało żyć bez chleba. Mama zawsze coś przyniosła, z czego można było jakąś zupę ugotować.

Rok 1940 na 1941 był pamiętnym. Była to groźna zima. Tubylcy nie pamiętali takiej śnieżycy i mrozów. Mówili, że chce ona wymrozić Polaków na śmierć. Całe szczęście, że zdążyliśmy wybudować długi barak, do którego nas przenieśli. Mimo wszystko był to trudny czas. W baraku zamieszkało ok. 20 rodzin z dziećmi. Każdy miał swoją pryczę i cały dobytek pod nią. Stan sanitarny w opłakanym stanie. Była tylko jedna kuchnia z dwoma paleniskami. Aby coś ugotować należało stać w kolejce. Pieców grzewczych nie było. Na ścianach wilgoć i pleśń. Ludzie zaczęli chorować; panoszył się reumatyzm.

Pisaliśmy protesty do władz partyjnych. przyjechała komisja sanitarna z Pawłodaru. Nakazała władzom sowchozu natychmiast rozsiedlić nas po różnych domach Kirgizów i dostarczyć nam opału do pieców. Zamieszkaliśmy razem z rodziną Kanasów; było w niej 4 synów i matka. Nas, Szeligów, było 8 dusz. Razem w pokoju przebywało 13 osób. W drugim pokoju, obok naszego, zamieszkały 3 rodziny. Były one mniej liczne. Rodzina Januszewskich składała się z siostry i 2 braci. Razem z nią była Giżycka z niemow-

łęciem i Baranowska z córką. Dziecko pani Giżyckiej zmarło. Została więc ona sama.

Pokoje były bez podłóg. Chodziliśmy po klepsku jak w stodole. Każda rodzina dostała pryczę, pod którą trzymała dobytek. Prycza nie była szeroka. Jeżeli ktoś z naszej ósemki podczas snu chciał obrócić się, to musieliśmy obracać się wszyscy jak na komendę. W tym domu doczekaliśmy powrotu do kraju. Domy Azjatów miały płaskie dachy. W środku wylepione były gliną. W pokojach stały słupki podtrzymujące strop. Za domem znajdowała się pusta przestrzeń, ciągnęła się ona przez około 300 hektarów.

Nieopodal pracowała na pełnych obrotach mleczarnia. Przy niej stały domy dla pracowników. Zakład ten ułatwił nam przetrwanie. Mogliśmy w nim od czasu do czasu kupić maślankę i to naraz całe wiadro. Było to jednak możliwe tylko w sezonie, w lecie. Zimą zdarzało się nabyć chude mleko. Po kilka sztuk bydła trzymali bowiem robotnicy i dyrektor. Przez jeden sezon byłem brany do pasienia ich krów. Po wodę również chodziliśmy do mleczarni. Była tam jedyna, lecz za to bardzo głęboka studnia. Latem było nawet przyjemnie pójść po wodę, gorzej było zimą. W zawieje śnieżnej topiliśmy śnieg na ogniu po wcześniejszym nabraniu go do naczynia.

Na przełomie roku 1940 na 1941 rozszalała się zima na dobre. Kirgizi mówili, że to „buran”. Tak srogich śnieżyc, zawiei i mrozów nie pamiętali. Trzeba było mieć odwagę i siły fizyczne, aby wytknąć nos za drzwi domu. Tylko mój brat Czesław regularnie szedł do pracy i przynosił „pajok” lub coś innego do jedzenia. Piekarnia sowchozu często nie miała czym palić. Zdarzało się, że nie miała też potrzebnej ilości wody. W takiej sytuacji dawano albo mąkę zamiast chleba, albo ciasto rozrobione. Wtedy piekliśmy placki, względnie robiliśmy zacierkę. Czasami przez trzy dni nic nie dostawaliśmy. W oczekiwaniu aż ustanie „buranu” gotowaliśmy posoloną wodę. W tę pamiętną zimę dużo ludzi zginęło lub zamarzło na śmierć. Zasypom śniegu towarzyszył mróz dochodzący okresami pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Obfity śnieg często zasypywał drzwi wejściowe i jedyne okno naszej izby. Aby wyleźć z domu, należało się odkopać. Na szczęście drzwi otwierały się do wnętrza sieni. Nieraz dom był zawiany równo z kominem. Zdarzało się, że po ośnieżonym dachu grasowało stado wilków. Ich wycie w pobliżu komina brzmiało jak prośba, aby przyjąć je w gości. Jak „buran” ustawał, szliśmy do Kirgizów z prośbą, aby nas poratowali czymś do jedzenia. Dostawaliśmy je w zamian za jakieś polskie ciuchy. Częściej jednak litowali się nad nami, bezinteresownie dając pożywienie.

Burze śniegowe ustały. Polacy wyruszyli do Pawłodaru. Trzeba było przejść 20 km po śnieżnej i mroźnej pustyni. Pokonać skutą lodem Irtysz.

W mieście był dom zajezdny dla podróżnych naszego sowchozu. Można w nim było przenocować na drewnianej pryczy. Na lokalnym bazarze była możliwość sprzedania jakiegoś łachu i zrobienia zakupu.

Minęła zima i nastąpiła wiosna 1941 r. Lody na Irtyszu zaczęły pękać i spływać w dół rzeki. Powstawały zatopy, tworząc wielkie rozlewiska. Woda sięgała aż pod sowchoz. Jeżeli ktoś nie zdążył wrócić z Pawłodaru to został w nim uwięziony i musiał czekać, aż wody opadną. Mostu na rzece nie było. Prom kursował, ale dopiero gdy wody opadły.

Latem było łatwiej przetrwać. Rozlewiska Irtysza pozostawiały mnóstwo ryb w różnych zapadlinach i odnogach. Gdy woda wyschła, ryby można było łapać gołymi rękoma. Pozostałe po rozlewisku oczka wodne przyciągały mnóstwo ptactwa: dzikie gęsi, żurawie, czajki, kaczk i jastrzębie rybojady. Podbieraliśmy im jajka. Na łące rosła dzika cebula. Zrywaliśmy jej nać na bigos okraszony rybim tłuszczem. Otrzymywaliśmy go poprzez gotowanie wnętrzości i zlewanie do butelek. Służył on też za omastę do kartofli, które czasami dostawaliśmy po kryjomu. Muszę jeszcze dodać, że stałem się dobrym łowcą drobnej zwierzyny. Zdobyłem nawet kilka łapek sprężynowych. Polowałem na susły, chomiki, zające. Nie gardziłem też jeżami i tarpaganami, które przypominały kangury, skacząc na tylnych łapach. Wielkością nie przekraczały małego królika. Do samej zimy mieliśmy dobre zaopatrzenie i urozmaicone potrawy.

Tubylcy nauczyli nas, że przez całe lato należało zbierać opał na zimę. Opałem był z reguły „kiziak”, czyli łajno krowie suszone na słońcu. Trzeba było zrobić taki zapas, ażeby starczyło go na najgorsze mrozy.

Na łące przy jednej z odnóg Irtysza był zbudowany „czyjar”. Takie wielkie koło, które obracane czerpało wodę i wynosiło ją czerpakami do góry. Wlewała się ona do koryta, które przenosiło wodę na uprawy warzywne. Jeden sezon byłem zatrudniony przy obsłudze tego „czyjara”. Zaprzęgałem dwa woły do kieratu i popędzałem je w koło. Sam siedząc na belce, jeździłem jak na karuzeli.

Lato 1941 r. było bardzo upalne. Bosymi nogami trudno było stąpać po [rozgrzanej] ziemi. [Patrzac w dal], miało się wrażenie, że wszystko płynie w powietrzu. Przy wschodzie słońca widziało się dziwne obrazy na horyzoncie. Ukazywały się góry, lasy, domy. Wizje trudne do opisanie. Chciało się tam biec. Po chwili wszystko zniknęło i tylko dziki, równinny step pozostawał. Dorośli [nazywali] to zjawisko mirażem, względnie „fata morgana”. A ponieważ byłem przez jeden sezon pasterzem, to te zjawiska często oglądałem.

Pasąc bydło, często obok stada widziało się lisy lub borsuki względnie przemykającego przy ziemi zająca. Zwierzęta te wyskakiwały spod nóg bydła. Dało się też widzieć stada szarych wilków biegnących obok stada. Nigdy jednak nie zaatakowały mojej trzody. Chyba miały do mnie sentyment – taki mały pasterz.

Zbliżał się koniec lata 1941 roku. Polacy pracowali na „bakrach”, czyli plantacjach. Zbierali ogórki, kawony, melony i pomidory. Swego czasu z Pawłodaru przyjechał wysłannik i zakomunikował, że Hitler złamał „dagawor”. Napadł zdradziecko „na Wielką Rosję” – tłumaczył. Polacy popuszczali głowy w [udawanym] smutku. Politruk w tajemniczy sposób zawiadamiał nas, iż „prawitielstwo” [władza] zastanawia się, czy obozy polskich oficerów zostawić „Germańcom”, czy ewakuować. Jeżeli pozostaną na terenach zajmowanych przez Niemców to będą walczyć z Czerwoną Armią. „Dlatego my wybraliśmy trzecią możliwość” – [dodał i odszedł]. To była prawdziwa rozmowa z politrukiem⁵.

Głośniki sowchozu były czynne cały dzień. Nadawały komunikaty. Informowały, że wojska ruskie celowo ustępują. [Bez ustanku] grano patriotyczne piosenki rewolucyjne. Ogłoszono mobilizację. W stronę Pawłodaru jechały samochody ciężarowe pełne młodzieży. Byli pewni zwycięstwa. Z entuzjazmem śpiewali „Wychadziła na biereg Katiusza”. Mieszkańców sowchozu opanował natomiast strach. Stali się dla Polaków milsi i przychylniejsi.

Do Mamy przychodziły gospodynie, aby coś uszyć dla dzieci. Mama była dobrą krawcową. Szyła ręcznie. Bardzo żałowała, że swoją maszynę do szycia firmy „Singer” zostawiła [w domu] znajomej o nazwisku Łowlis. Teraz by mogła szyciem utrzymać całą rodzinę. Za szycie płacono żywnością; mlekiem, śmietaną, masłem i czasami mięsem cielęcym.

Różnymi kanałami docierały do nas pocieszające wiadomości. Żywo komentowano wizytę generała [Władysława] Sikorskiego w Moskwie i jego rozmowę ze Stalinem. Z radością przyjęto podpisanie umowy w Londynie między Polską a Rosją. Stalin zgodził się na stworzenie Armii Polskiej. Pojawia się na widowni [generał Władysław] Anders. W Buzułuku mieścił się sztab i załóżek Armii Polskiej. Zawrzało w sowchozie. Młodzież zaczęła się przygotowywać do pójścia do tej Armii. Mój najstarszy brat Czesław zwolnił się z pracy. Pożegnał się z Mamą i braćmi i z całą grupą udał się do

⁵ Było to niby dyskretne, a zarazem ironiczne ujawnienie zamiaru wymordowania jeńców. Bezceremonialna wypowiedź politruka zawierała ukrytą groźbę skierowaną do Polaków.

Buzułuku. Zostało nas siedmioro razem z Mamą. W Pawłodarze powstał dom opieki dla powracających z łagrów. Ci którzy byli zdolni [do służby wojskowej], szli do armii, a wycieńczeni i z obozów pozostawali w domu opieki. Od naszych sojuszników⁶ zaczęły napływać różne ciuchy, kompletne mundury wojskowe i żywność. [Pomoc ta] rozdzielana była wśród Polaków pracujących w sowchozach i kołchozach. Zaistniała potrzeba wybrania mężów zaufania, którzy mieli z Pawłodaru przywozić towary i żywność, a następnie sprawiedliwie rozdać polskim rodzinom. W naszym sowchozie mężem zaufania został pan Sojkowski.

A więc wojna Niemców z Rosją miała swoje dobre strony. Nam, Polakom, przywróciła ona nadzieję na powrót do Polski. Młodzież i całe rodziny wyruszyły do Andersa. W sowchozach pozostały rodziny wielodzietne. Nasz mąż zaufania mieszkał w centrum sowchozu w otoczeniu Rosjan i Ukraińców. To oni zauważyli nagłą poprawę jego bytowania. Dowiedli mu nieuczciwego rozdzielania [darów]. Sam żył dostatnio, a rodzinom najbardziej potrzebującym przydzielał bardzo mało. Moja rodzina była najbardziej poszkodowana. Udałem się przeto ze starszym bratem Janem do Pawłodaru, by osobiście poprosić o jakiś przydziewek. Byliśmy już tak obdarci, że wstyd było pokazać się między cywilizowanymi ludźmi. Na obrzeżu Pawłodaru zbudowali Polacy barak, który służył jako magazyn i biuro Czerwonego Krzyża. Zgłosiliśmy się do kierownika [z prośbą] o wsparcie.

Cały personel był elegancko ubrany w angielskie mundury wojskowe. W biurze unosił się zapach prawdziwej kawy brazylijskiej. [Czuć] było dym papierosów dobrych marek. Potraktowano nas chłodno. Odczuwaliśmy ponizenie i zakłopotanie. Sądziliśmy, że coś nam dadzą, że czymś poczęstują. Pytano jedynie, dlaczego przychodzimy, skoro mamy męża zaufania. My zaś odpowiadaliśmy prośbą, aby coś nam dali do ubrania się. Niestety. Tam też dobrała się sitwa. Stwierdzono, że nam takich mundurów nie potrzeba, skoro i tak je podrzemy i nadal będziemy obdarci. Ostatecznie zdołaliśmy przekonać, że zostaliśmy skrzywdzeni przez złego męża zaufania. Dali nam te angielskie mundury i płaszcze zimowe. Dostaliśmy buty na grubej podeszwie. Kazano nam wracać do sowchozu. Obiecano pouczyć męża zaufania, gdy przyjedzie po następne partie przydziału. Ucieszyła się Mama, gdy wróciliśmy elegancko ubrani do sowchozu.

Do swej rodziny w sowchozie wrócił z łagrów pan Zieliński z Postaw. Był tak schorowany, że po paru miesiącach zmarł. Zdążył trochę opowie-

⁶ Polacy przebywający na terytorium sowieckim „sojusznikami” określali Stany Zjednoczone i Anglię.

dzień o swej hekatombie. Pokazywał rany na nogach, jakie mu wypalono podczas przesłuchań. [Po zakończonym śledztwie] pracował w tajdze przy wyrębie [drzewa]. Mówił, że jakiś czas widywał się z moim Ojcem Józefem Szeligą. Zniknął on jednak bez wieści. Przez pewien okres mieliśmy nadzieję, że Ojciec wróci. Niestety, już go nie [zobaczyliśmy].

Na przełomie lat 1941 i 1942 przybył do naszego sowchozu jeden z kolegów brata Czesława, który nie dostał się do Armii Andersa ze względu na swe białoruskie pochodzenie. Ze wstydu naopowiadał Mamie kłamstw. Mówił, że nasz brat został zabity gdzieś w drodze do wojska. [Powodem miała być] kradzież żywności, a kradli, aby nie zginąć z głodu. [Dopiero] na początku 1946 roku przyszedł tajemniczy list nadany przez Czerwony Krzyż. Pisany on był przez Czesława. [Zawiadamiał], że żyje i czeka, kiedy powrócimy do kraju. Była to dla Mamy wielka radość, ponieważ syn „zmarłychwstał”.

Wracamy myślami do [okresu] jak Anders wyprowadził do Iranu wszystkie swoje oddziały [a razem z nimi] wielu cywili. Stalin [akt ten] poczytał za zdradę. Nie mógł go przeboleć. Pozostałych [na terytorium ZSRR] Polaków zaczęto źle traktować. [Miejscowi] wołali za nami „wragi naroda”. Nie trwało to długo. Dochodziły do nas wieści, że Wanda Wasilewska i generał Berling udobruchali Stalina. Przyrzekli mu, że z pozostałych Polaków zorganizują armię, która razem z radziecką będzie biła Niemców. Powstał też Związek Patriotów Polskich. Stalin wyraził zgodę na utworzenie Armii Polskiej, do której przysłał mnóstwo swoich oficerów. Przyszedł czas na drugiego mego brata – Jana.

Jan pracował w artelu sowchozowym przy wyrobie ciepłych, wełnianych wołoków. Były to „walonki”⁷ z owczej wełny. Brat po kryjomu zabierał do domu wełnę, którą siostry przędły, a następnie robiły swetry, czapki, spódniczki, skarpety i rękawice. Ubierały się więc we własnym zakresie. Brat postanowił jednak zwolnić się z pracy i pójść do Dywizji im. Tadeusza Kościuszki. Odprowadzam Jana do Pawłodaru. Tu w „Wojenkomacie” [sztab wojskowy] zgłaszam się do wojska jako ochotnik. Mego brata przyjęli, a ja dostałem odpowiedź „Ty jeszcze za maleńki”. Ze łzami pożegnałem brata i wróciłem do Mamy. Zostało nas sześćcioro.

Zima z 1942 na 1943 była ciężka. Trudno było zdobyć coś do jedzenia. Przydział chleba zmniejszono. Mimo to nie zawsze można było go dostać.

⁷ Rodzaj butów wająłokowych z cholewami. Walonki noszono po wdzianiu na nie kaloszy lub po podszyciu trwałym materiałem, np. gumą.

Stale posługiwano się hasłem, że „wszystko co produkujemy na front”. W centrum sowchozu zawsze wisiały plakaty propagandowe. Jeden z nich głosił „dabjom Hitlera w jewo sobstwiennym barłogu”. Mama chodziła do dyrektora sowchozu, aby przydzielił dla rodziny prowiant. Ten niezmiennie odpowiadał „wsio na front”. Pewnego zimowego dnia, gdy wracała z pracy, zauważyła stado gawronów krążących nad jednym miejscem. Udaliśmy się tam. Oczom naszym ukazał się wielki wół. Porzucili go, Kirigizi, gdyż padł im w drodze. Przywieźliśmy zwierzę do domu. Leżał na środku pokoju. Każda rodzina rąbała po kawałku, aż całego [rozebrano].

Wiosną trafiła nam się druga okazja. Wilki rozszarpały w sąsiedniej farmie krowę powracającą z pastwiska. Fakt ten zauważyła Mama. Kazała nam wziąć worki i siekiere. Gdy wracaliśmy, zauważył nas Kirgiz. Aresztowano nas. Oskarżono o zabicie sowchozowej krowy. Po sprawdzeniu, że mówimy prawdę puszczono nas wolno. Zezwolono nawet wziąć trochę mięsa.

Smutnym wydarzeniem była śmierć Bolesława Januszewskiego. Była to rodzina mieszkająca w sąsiednim pokoju. Założyli oni warzywnik, który nie był ogrodzony. Dwaj bracia pilnowali go na zmianę. Tragicznego dnia na poletko wszedł olbrzymi buhaj. Bolek chciał go przepędzić, ale on wziął go na rogi. Kolega jęczał kilka dni z bólu, aż umarł. Został pochowany na wiejskim cmentarzu. Kołchoz został zmuszony przez władze do zabicia byka, ponieważ był on niebezpieczny dla ludzi.

Jestem teraz w rodzinie najstarszy. Dwu starszych braci odeszło [przecież] na wojnę. Spoczął na mnie ciężar opiekowania się młodszym rodzeństwem. Robiłem, co mogłem, aby Mama była ze mnie zadowolona. Chodziłem do Pawłodaru na bazar. Żebrałem tam. Jak miałem pełen plecak produktów, wracałem radosny do rodziny. Przy kolejnej takiej wyprawie zabawiłem trochę zbyt długo. Gdy doszedłem do Irtysza, nie można już było wejść na lód z uwagi na wiosenny rozstop. Zacząłem szukać możliwości przejścia. Zobaczyłem na przystani stojące obok siebie barki. Znajdowałem się już na środku rzeki, gdy usłyszałem krzyk milicjanta. Myślę sobie krzycz, a nawet strzelaj. Ja muszę dostać się do sowchozu gdzie na mnie czekają. Wydostałem się bezpiecznie na brzeg, choć miałem nogi mokre do kolan. Zanim zaszło słońce, byłem już w domu. Mama i dzieci ucieszyły się, ponieważ przyniosłem pełen plecak chleba. Następnego dnia od strony Irtysza dał się słyszeć huk pękającej pokrywy lodowej. Wody zalewały łąki i drogi, po których jeszcze wczoraj biegłem. Moje wyprawy na jakiś czas zostały zawieszane.

Dyrektor sowchozu wytypował mnie i Polaka Euzebiusza Łastowskiego na kurs stolarski. Euzebiusz był moim kolegą ze szkoły w Postawach. Jego

ojciec, organista z kościoła katolickiego, zmarł już w sowchozie, gdzie został pochowany. Mój kolega nie cierpiał sowietów. Nienawiść do czerwonych moskali wzrosła, gdy jego matkę osadzono w więzieniu pod zarzutem spekulacji. Miejsce kursu znajdowało się bardzo daleko. Przed nami była długa droga. Dyrektor zorientował się, że nie mamy odpowiedniego obuwia. Obu! więc nas w ciepłe walonki, a na drogę zaopatrzył po bochenku chleba. Jechaliśmy parę dni pod plandeką ciężarowego samochodu. Nocowaliśmy po chutorach. Zawieźli nas do miejscowości Majkarahej. Była to wielka osada zamieszkała przez robotników leśnych. Zakwaterowali nas w internacie dla uczniów. Byli tu już Ingusze, Tatarzy, Czeczeni, Ukraińcy i Rosjanie. Kierownikiem internatu była stara Niemka. Kierownikiem szkoły był ranny oficer rosyjski Łaktionow. Majstrem był stary Ukrainiec Czyżykow. Uczono nas wykonywać potrzebne w sowchozach lub kołchozach przedmioty; koryta, drzwi do mieszkań, ławki, taborety, krzesła, wiadra klepkowe. W sposób pobieżny zapoznano też z ciesielstwem. [W dni] wychadnyje (niedziela) całą szkołę wywozili do lasu do palenia gałęzi. Kto nie pojechał, nie otrzymał kwitku na obiad i chleb w danym dniu należny. W kwietniu 1944 roku kierownik zorganizował wycieczkę do tajgi. Oglądaliśmy spustoszenie uczynione przez trąbę powietrzną. Pokotem leżały sosny, które były tak grube jak my wysocy. Nikt tego drewna nie brał. Leżało i butwiało.

Zbliżał się koniec kursu. Każdy uczeń otrzymał pracę do wykonania jako egzaminacyjną. Ja i Euzebiusz mieliśmy wykonać biurko dla kierownika szkoły. Wszystko należało wykonywać ręcznie, maszyn nie było. Oprócz biurka wykonaliśmy dla siebie, na pamiątkę, po „czemadańczyku” (walizki). Biurka nie skończyliśmy, ale świadectwa ukończenia otrzymaliśmy. W czerwcu 1944 przyjechał po nas samochód ciężarowy i zabrał do sowchozu, do domu. Powrót był wspaniały. Towarzyszyła nam piękna pogoda. Za samochodem ciągnęła się chmura pyłu stepowego. W samo południe przejeżdżaliśmy przez miasto. Był to chyba Samipałatyńsk? Na ulicy stały samochody z czerwonym krzyżem. Wyładowywano z nich rannych [chyba z frontu]. Okaleczonych mężczyzn zabierali ze sobą ludzie, którzy otaczali samochody. Z pojazdów dochodziły do nas patriotyczne śpiewy.

Po paru dniach i nocach spędzonych w zajazdach dotarliśmy do sowchozu. Dyrektor z miejsca nas zatrudnił w „mastierskoj”, czyli w stolarni. Pracowali już w niej dwaj stolarze. Jeden był Kirigizem, a drugi Ukraińcem. Pierwszym naszym zadaniem było ułożenie podłogi w Sielsawiecie Dżanamajdan. Brakowało nam narzędzi. Żałowałem, że pozostawiliśmy w Postawach skrzynię z narzędziami stolarskimi po moim ojcu. Teraz byłyby bardzo użyteczne. Podłogę robiliśmy przy pomocy siekiery i młotka. Resztę

trzeba było pożyczac u Ukraińca. Ledwo skończyliśmy to zadanie, a już otrzymaliśmy nowe.

Wyjazd do miejscowości Lebierze po przydział tarcicy i klocków budowlanych. Kierownik zorganizował grupę ludzi. Było kilkoro starszych flisaków. Jechała też z nami kucharka Łastowska. Zaopatrzone nas w prowiant: mąkę, kaszę, chleb razowy i baraninę soloną w beczce. Dostaliśmy też siekiery, piły, liny, drut i gwoździe. Na ciężarówkę załadowano również łódź potrzebną do pływania po Irtyszu.

W Lebierzu, na brzegu rzeki, było wielkie składowisko wszelkiej tarcicy. Ładowaliśmy materiał na wózki, dowoziliśmy go nad urwisty brzeg i spuszczaaliśmy w dół po ułożonych łątach. Najpierw wzięliśmy kloce o równej długości. One służyły do zbudowania tratwy. Związaliśmy z nich osiem segmentów. Powiązaliśmy je stalową liną. Na wierzch ładowaliśmy tarcicę. Była to bardzo ciężka praca. Marzły ręce. Kierownik stale popędzał. Zeszło nam chyba osiem dni, zanim tratwy były gotowe do odpłynięcia w dół Irtysza. W międzyczasie musieliśmy łodziami przeprowić się na lewy brzeg rzeki po wiklinę. Robiliśmy z niej wiązadła do łączenia klocków. Podczas kolejnej wyprawy złapała nas wielka wichura. W czwórke walczyliśmy z silnym wiatrem i dużymi falami, które zalewały łódkę. Zniosło nas daleko od budowanych tratw. Ledwo zdołaliśmy się uratować; mokrzy i zmęczeni dotarliśmy do tratw. Zbudowaliśmy legowisko na deskach. Urządziliśmy palenisko w skrzyni z piaskiem. Zawiesiliśmy nad nim garnek. Gospodyni Helena mogła więc warzyć obiady. Gotowała z reguły kluski lub kaszę jaglaną na baraninie. Na początku tratwy i na jej końcu zainstalowaliśmy po dwa ciężkie wiosła, by nas nie zniosło. Płynęliśmy spokojnie w dół Irtysza, gdy nagle spostrzegliśmy statek pędzący w naszym kierunku. Starszy flisak krzychał aby czym prędzej ściągnąć tratwę z toru. Musieliśmy ciężko pracować, żeby nie zderzyć się ze statkiem pasażerskim. Mijający statek, o ogromnych kołach napędowych po bokach, narobił wielkich fal. Nasza tratwa zaczęła trzeszczeć. Sądziiliśmy, że porozrywa się na elementy. Przeżyliśmy strach. Zbliżał się wieczór. Flisak wyszukał miejsce na nocny postój. Młodzi musieli wyskoczyć na brzeg z orczykiem przymocowanym liną stalową do tratwy. Zatopiony w ziemi orczyk orze ją tak długo, aż zatrzyma nasz „pojazd”. Jest to zadanie niebezpieczne. Orczyk często fika kozły. Brygadzysta, który znał to miejsce, oznajmił, że w pobliskich rozpadlinach można nazbierać alabastru. Wyszedłem z Euzebiuszem i nazbierałem większą ilość tego surowca. Gdybym obecnie ten alabaster miał, wykonywałbym wspaniałe rzeźby. Tymczasem posłużył on nam (po wypaleniu) do malowania ścian.

Gdzieś po tygodniu po różnych perypetiach dotarliśmy do sowchozowej przystani. Tu nasza praca zakończyła się. Inni ludzie zwieźli przetransportowane dobro do sowchozu.

W domu wszystko było w porządku. Tylko Mama narzekała na serce. Mieli też co jeść. Otrzymywali regularnie „pajok”. [Oprócz tego] Mama przynosiła różne warzywa z ogrodów, na których pracowała.

Dyrektor wysłał mnie [na pola] razem z brygadą żniwną. Potrzebny był stolarz. Wsiadłem do samochodu, zabierając swoją siekierę i piłę ręczną. Odwoziła mnie czarnowłosa, bardzo ładna i młoda Kirgizka. Miała chyba dziesięć warkoczyków. Głowę przykrywał czepek szamerowany kopiejkami. Ciasno opięty kaftanik, również zdobiony kopiejkami, okrywał bardzo zgrabną kibić. Prowokacyjnie spoglądała na mnie. Ja nie wiedziałem, jak się przy niej zachować. Nie miałem [odwagi] nawiązać z nią rozmowę. W końcu przestała na mnie zerkać i poczęła śpiewać. Wydawało się mnie, iż w pieśni wyraża smutek i tęsknotę do wolności. Tak prześpiewała całą drogę. Dotarliśmy do Barakpaj. Była to mała osada. Stało tu kilka lepianek w rodzaju domów. Był też długi barak dla sezonowych robotników. Z polowej kuchni dolatywał jakiś dziwny zapach pitraszonego posiłku. Był też polowy warsztat do mniejszych napraw kombajnów czy traktorów. [W pobliżu stała] kuźnia polowa, w której pracował Kirgiz. Później okazało się, iż był on całkowicie głuchy. Brygadzysta wskazał mi w baraku miejsce. Było w nim już mnóstwo Polaków. Pouczył mnie, że rano gdy usłyszysz gong, mam stawić się na placu. Podczas tego apelu przydzielał pracę. W nocy nie mogliśmy spać. Coś po nas łąziło. Po zapaleniu kaganków ukazało się naszym oczom mrowie wesz, które wypełzyły ze starej słomy. Uciekliśmy z baraku. Zapaliliśmy ognisko na stepie i przystąpiliśmy do odwyszawiania. Wytrąsane z koszul trzaskały w ogniu. Młodzi Kirigizi szwy bielizny przepuszczali przez swoje zęby. Powiedzieliśmy im, że to niezgodne z higieną. W odpowiedzi usłyszeliśmy: „One piły naszą krew, teraz my pijemy ich krew”. Wynieśliśmy z baraku wszystką słomę i spaliliśmy. Pomieszczenia wysiarkowano. Spaliliśmy na stepie przy ognisku. Brygadzysta wyjaśnił, iż przed nami spali w baraku Uzbegy. Byli to żołnierze, którzy odmówili udziału w walkach na froncie. Używano więc ich do ciężkich prac. Zabrano ich do budowy kolei gdzieś w Kazachstanie.

[Po wszawych] przeżyciach przystąpiłem do pracy. Naprawiałem skrzynie na zboże oraz drewniane części kombajnu. Gwoździ nie było. Robiłem je sam u kowala. Kowal rozgrzewał pręty metalowe w palenisku, a ja pięciokilowym młotem wykuwałem z nich potrzebne ćwieki.

Przyszła pora żniw. Koszono proso, pszenicę, jęczmień, owies, żyto. Żyta było mało. Najwięcej siano prosa. Hasła propagandowe wzywały do poszanowania każdego kłoska. Wyjaśniano, że rzetelna praca jest naszym wkładem w „pobiedę”. Nawoływania kłóciły się jednak ze sposobem przechowywania ziarna. Kombajny wysypywały je wprost na ziemię. Powstawały długie przyzmy zboża. Dopiero po tygodniu ładowano je na samochody i wywożono do Pawłodaru. Znajdował się tam potężny spichlerz. Był on widoczny z bardzo dużej odległości. Żniwa przeciągały się do zimy. Często proso wyrivano z korzeniami i składowano w sterty, ponieważ kombajny psuły się. Brak było mechaników, których [zabrała] armia.

Pewnego dnia był wspaniały obiad. Ugotowano zacierkę z pszennej mąki na koninie. Otrzymałem całe żebro [obrośnięte] mięsem. Dwa dni miałem co ogryzać. Każdego dnia dostawałem 40 dekagramów chleba.

Nagle moja praca dobiegła końca. Przyszły dwie moje siostry – Lilia i Celina – komunikując o poważnej chorobie Mamy. Brygadzysta polowy zwolnił mnie natychmiast, polecając wracać do sowchozu. Jeszcze tego samego dnia razem z siostrami wróciłem do Mamy. Zastanawiałem się, jak ją ratować. Widoczny był atak serca. Zawezwana felczerka sowchozowa również była bezradna. Poleciała zawieźć Mamę do pobliskiego szpitala, który znajdował się po drugiej stronie Irtysza. Zawiozłem ją wołami. Lekarz naczelny okazał się Żydem z Polski, który pomagał Sybirakom. Mama przez dwa tygodnie znajdowała się pod jego opieką. Na moich barkach spoczęła troska o rodzinę. Modlitwy nasze o zdrowie Mamy zostały wysłuchane.

Mama często miała sny, z których wynikało że nie wrócimy do swego domu. Śniły się jej domy wiejskie, ale murowane, kryte czerwoną dachówką. Śnił się też jej koniec wojny. Ludzie śmiali się z Mamy i jej snów.

POWRÓT

Pewnego dnia w porze obiadowej przyjechał do sowchozu politruk. Zwołał wszystkich do siebie. Ogłosił koniec wojny. Następnie wziął mamę na bok, wypytując ją kto jej o końcu wojny powiedział. Mama wyjaśniła swoje sny, które wyprzedzały fakty. Powiedziała mu, że nawet Wileńszczyzna nie będzie polska. Zdumiał się. Podał rękę i odjechał.

Mama otrzymała list od swoich siostr, które mieszkaly na Wileńszczyźnie jeszcze przed napaścią Niemców na Rosję. Prosiły one Mamę aby podawała, że jest narodowości białoruskiej. Gdy nastala wymiana paszportów, to Mama tak zrobiła. Miało to nam polepszyć byt. Ale to się nie sprawdziło. Całe szczęście, że miała paszport męża i swój.

Po zakończeniu wojny nastąpiła wielka radość wśród Polaków. Gdy Wanda Wasilewska założyła Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej⁸ to prawie wszyscy sybiracy wstąpili do tego nowego tworu. Otrzymali legitymacje. Zwiększały one możliwość powrotu do Polski. I tak minął rok 1945 i ostatnia zima, która nam sprzyjała, [ponieważ] nie była groźna. Od brata Jana dotarły listy. Wynikało z nich, że przed końcem wojny został ranny. Leżał w szpitalu. Do sowchozu zaczęli wracać ciężko ranni Rosjanie. Cieszyli się, że żyją. Większość jednak nie powróciła. W niektórych rodzinach wszyscy mężczyźni zginęli. Wielu Polaków będących na froncie również nie wróciło, zginęli. Cieszyliśmy się, że nasz brat żyje. Na początku 1946 roku odezwał się również brat Czesław. Kolega Czesława, który mamie nakłamał, że syn zginął, jak szli do Andersa, poległ sam. Przesłano nawet zawiadomienie o jego śmierci. On walczył w pierwszej Dywizji Tadeusza Kościuszki.

W końcowym okresie zesłania trochę nam się poprawiło. Otrzymaliśmy większy przydział ziarna, mąki, chleba. Zaczęliśmy dochodzić do sił fizycznych. Odwiedzały nas jakieś komisje urzędowe. Po pewnym czasie kolejno wzywano Polaków do urzędu. Przeglądano dokumenty i inne kwestionariusze. Na ich podstawie wydawali papiery repatriacyjne w dwu językach. Upoważniały one do powrotu do Polski. Kto ich nie otrzymał to miał pozostać w Kazachstanie. Prawa do powrotu nie otrzymali ci, którzy wpisali do kwestionariusza, że są Białorusinami. Przyszła i na nas kolej. Mama nie traci nadziei, mimo, że kiedyś podała narodowość białoruską. W urzędzie stwierdzono, że Mama jest Białorusinką. Oburzyło to ją. Urzędnicy pokazali kwestionariusz. Mama odpowiedziała im wówczas, że ona sama nie wie co pisać. Matka była Białorusinką – tłumaczy – a Ojciec Polakiem. Natomiast ona i jej dzieci czują się Polakami. Roześmiali się urzędnicy. Zaczęli wahać się, czy wydać dokumenty.

Mama okazała im dwa paszporty; swój i ojca. Pisało w nich, czymi obywatelami jesteśmy. To przeważało szalę na naszą korzyść. Wydali dokumenty upoważniające do przekroczenia granicy sowieckiej. Spadł nam kamień z serca. Oczekiwaliśmy na odjazd.

Na początku marca pod nasz dom podjechały sanie ciągnięte przez parę wołów. Ładujemy na nie duży kufer. Powłaziły do niego dzieci. Miały w nim ciepło. Żegnamy sowchoz żółkoduk na zawsze. Zbiegło się trochę ludzi, aby pożegnać nas. Zazdrościli nam, że jedziemy do Polski, do lepszego kraju. Powoził stary Kirgiz. Poganiał woły, aby jak najprędzej dotrzeć do

⁸ Chodzi z pewnością o Związek Patriotów Polskich w ZSRR działający od marca 1943 r.

Pawłodaru. Dojeżdżamy do Irtysza. Lód jeszcze mocny. Mogą po nim nawet pociągi towarowe przejeżdżać. Docieramy na drugi brzeg. Trzeba wspinać się po nim pod górę. Woły ślizgały się i padały. Musieliśmy wysiąść z sań by wołom ulżyć. [Niespodziewanie] zobaczyliśmy beczkowsy jadące po wodę. Ciągnęły je konie podkute. Tu muszę wspomnieć, że Pawłodar zaopatrywano w wodę przy pomocy beczkowsów. Wozily one wodę po ulicach, a ludzie napełniali wiadra dla swych potrzeb.

Nareszcie jesteśmy w Pawłodarze. Zawieźli nas do jakiegoś olbrzymiego budynku. Przypominał on świątynię. Spotkaliśmy w nim Polaków z różnych stron przedwojennej Polski. Spotykaliśmy ludzi ze Lwowa, Stanisławowa, Tarnopola, a nawet z Postaw. Przenocowaliśmy jedną noc.

Rano zrobił się wielki ruch. Przywieźli chleb i kiełbasę. Prowiant przydzielano w oparciu o liczbę osób wpisanych do dokumentów ewakuacyjnych. Otrzymywaliśmy również perkal na sukienki dla kobiet.

Polacy na pożegnanie ułożyli pieśń, która rozbrzmiewała do samego wyjazdu z Pawłodaru nad Irtyszem. Brzmiała ona, jak pamiętam, następująco:

Daświdania stepy i darohi
i wysokij bierech Irtysza.
My siehodnia z pieśnią wiesiołaj
ujeżdżajem ad was w Polsce, damoj.
Doświdania sioła i sowchozy
I wsie miłyje druzja.
Wmiestie z wami w Kazachstanie
my prażyliśmy mnogo dniej.

Tę pieśń śpiewano jeszcze w wagonach, aż Pawłodar pozostał daleko z tyłu.

W pociągu, nim ruszyliśmy przeżyliśmy przykre zdarzenie. Otóż jedna młoda Polka, o nazwisku Ławnikowska, wyszła za mąż za Rosjanina z Pawłodaru. Chciała po kryjomu uciec od męża. Schowała się wśród Polaków wracających do kraju. Jej mąż powiadomił milicję. Przyjechali na stację i zrobili nalot na wagony. Złapali ją. Nie posiadała dokumentów upoważniających do wyjazdu.

Kirgizi żegnali nas ciepło i serdecznie. Podczas powrotu na większych stacjach, widzieliśmy mnóstwo niemieckich żołnierzy. Naprawiali wszystko to, co zniszczyli. Niektórzy z nich podchodzili do naszych wagonów i prosili o wsparcie. Czynili tak z reguły Volksdeutsche rekrutujący się z Polaków. Sybiryacy dawali wszystko to, co już im nie było potrzebne. Były to ciepłe rękawice, skarpety, swetry, czapki, a nawet chleb. Strażnicy nie bronili tego. Pozwalali obdarowywać ich.

Podczas podróży czuliśmy, że jesteśmy wolni. Nikt nas nie pilnował. Na [postojach] kobiety szły na targowiska, by coś kupić do jedzenia. Zdarzało się, że niektóre nie zdążyły wrócić na czas. Pociąg odjeżdżał. Zgłaszały się wtedy do dyżurnego stacji i dopędzały nas pociągiem osobowym. W naszym wagonie było kilka rodzin. Jechała w nim pani Rezler z córkami, pani Gorczyńska z córką, Komorowska z córką, Łastowska z trzema córkami i synem Euzebiuszem oraz Gołębiowska z trzema córkami. Innych nie pamiętam. W takim towarzystwie dojechaliliśmy do granicznej stacji, czyli do Brześcia nad Bugiem. Tu przy naszym pociągu towarowym postawiono skład osobowy. Urząd celny wszystkich nas skontrolował. Przejrzano dokumenty, wstawiono pieczętki i zabrano odcinki kontrolne. Nikt kto by chciał przedostać się bez dokumentów, nie przeszedłby. Przesiedliśmy do wagonu osobowego. Chcieliśmy zabrać kufer, ale niestety nie zmieścił się w drzwiach. Z żalem zostawiliśmy go na peronie.

W Brześciu mieliśmy długi postój. Polacy ruszyli do miasta do kościoła, aby Bogu złożyć podziękowanie za ocalenie i szczęśliwy powrót. [Pamiętaliśmy] i o tych, którzy zasilili cmentarze Kazachstanu, aby dać świadectwo potomnym, jak wielu Polaków tu cierpiało i umierało. [Ja] pamiętam o Łastowskim, Januszewskim, Zielińskim, Cieleckiej i synu Giżyckiej.

[Po powrocie do wagonu] dowiedzieliśmy się, że pojedziemy do Poznania, a później na Ziemię Odzyskane. Sny mamy zaczynają sprawdzać się, że nie zobaczymy tych stron, z których nas zabrano.

Po opuszczeniu Brześcia jedziemy przez lasy, w których kryją się oddziały przeciwne Polsce Ludowej. Do wagonów wskakują jacyś ludzie w kożuchach bez rękawów. Broni nie było widać, lecz czuło się, że ją mają. Zaczęli nas wypytywać. Gdy zaspokoili swoją ciekawość, dali nam spokój. W jednym z wagonów jechała samotna Polka. Dowiedziała się ona od nich o wielkiej tragedii syna, z którym miała się spotkać w Brześciu. Zginął on przez głupotę. Podczas łapania ryb rozerwał się w jego rękę granat. Wiadomość ta przytłumiła naszą radość.

[Wczesnym] rankiem wjechaliliśmy do Warszawy. Przez okna oglądamy rumowisko. Kikuty popalonych domów przyprawiały nas o smutek. Zastanawiałem się, czy nasza ciocia Hajda ocalała. Zaopatrzyliśmy się w żywność. Przed nami droga do Poznania.

Jesteśmy w Poznaniu. Tu głowy rodzin poproszono do Czerwonego Krzyża. Na podstawie dokumentów repatriacyjnych otrzymywały one pieniądze na zakup żywności. Tu też musieliśmy zdecydować się, gdzie chcemy osiedlić się na stałe. Proponowano Gubin lub Gorzów Wlkp. Mama wybrała Gubin, lecz nasi znajomi Gorzów. Musiała ustąpić i jechać do Gorzowa. Zanim odjechaliliśmy, mieszkańcy Poznania dostarczyli nam

chleb. [Czynili] to bezinteresownie. Wręczano również konserwy, słońcę oraz różnego rodzaju odzież. Byliśmy tym bardzo podniesieni na duchu. Uwierzyliśmy w rodaków. Byliśmy pewni, że teraz nie zginiemy z głodu. Chleb dla nas był przez długie miesiące rarytasem. Nauczyliśmy się go szanować i oszczędzać.

Nareszcie jesteśmy w Gorzowie. Zakwaterowano nas w dużym domu, róg Kosynierów Gdyńskich i Króla Ducha (obecnie ul. Borowskiego). Był tu punkt etapowy. Wszyscy Polacy zaczęli się rozglądać, gdzie osiedlić się. Znajomi zajęli mieszkania w pobliżu. Natomiast Mama wybrała wieś Chwałęcice Górne. Na początku zamieszkaliśmy u gospodarza. Dał nam mieszkanie i pracę, za którą płacił żywnością. [Sporo] rodzin postąpiło podobnie. Lata powojenne były trudne. Zdobyć stałe zatrudnienie było jeszcze niemożliwe. Poszliśmy do szkoły. Wrócił brat Jan z wojska. Jako weteran i zasłużony dostaje ziemię z reformy rolnej oraz mieszkanie. Zaczęliśmy gospodarzyć na swoim. W zagospodarowaniu pomogła Gmina. Nawijujemy łączność z bratem Czesławem, który był u Andersa w brygadzie spadochronowej. Ożenił się i zamieszkał w Anglii. W obawie przed represjami „czerwonych” nie wrócił do Polski. Mój kurs w Majkarahaj przygotowujący do zawodu stolarza pomógł mi zdobyć mistrza budowlanego.

W 1954 założyłem rodzinę. Zamieszkałem w Gorzowie. Praca w „Stolbudzie” zapewniała bezpieczne życie i wychowanie dwu córek i syna. Moje hobby rzeźbiarskie przysparzało dodatkowych groszy. Powoli stawałem się znanym twórcą ludowym. Moje prace znalazły się w kolekcji [etnograficznej] muzeum w Gorzowie. Na emeryturę odszedłem w 1982 roku. Rodzina powiększyła się o sześcioro wnuków.

Zacząłem tęsknić za tymi stronami, z których wywieźli nas na Sybir. Były tam jeszcze dwie ciotce. Jedna mieszkała w Kownie, a druga w Wilejce. Przesłały zaproszenie dla mnie i dla mojej żony Heleny. Moje marzenie, aby zobaczyć Postawy, stało się realne. Jechaliśmy przez Kuźnicę, Grodno i Wilno. Serce kołatało z wrażenia. Jesteśmy przecież na ziemiach należących przed 1939 rokiem do Polski. Nasi sojusznicy podzieliły nasz kraj wbrew woli Narodu Polskiego. Późnym wieczorem docieramy do Kowna i zamieszkałej tu cioci Hani. Pukamy do jej drzwi, ale ona nie spieszy się z otwarciem. Po litewsku pyta kto tam? Otwiera drzwi dobrze zaryglowane i ze łzami rzuca się w objęcia. Pięćdziesiąt lat minęło od ostatniego widzenia się. Wówczas ciocia była w Postawach. Rozmawialiśmy całą noc. [Okazało się], iż ciocia wyszła za mąż za Litwina tuż po wojnie. Wojnę odbyła w rosyjskiej partyzantce. Była odznaczona różnymi orderami, a nawet miała prawo mieć w domu karabin. Żyła w ciągłym strachu, czy ktoś nie zjawi się, żeby

ją zlikwidować. Znała tajemnice, za które w [ZSRR] płaci się gardłem. Rano poznaliśmy jej męża Pietrasa, bardzo miłego i sympatycznego wujka. Ciocia miała swój samochód, którym jeździliśmy wszędzie. Miała też wspaniałą daczę ponieważ wujek był prezesem działkowców. Dacza była w pobliżu rzeki Wilii. Ciocia powiadomiła telefonicznie kuzyna Władka z Wilna, że przyjechali goście z Polski. Natychmiast przyjechał on do Kowna własnym samochodem. Władek jest synem cioci Janki, która obecnie mieszka w Wilejce. Kuzyn zaproponował nam zwiedzenie Wilna, Wilejki i Postaw.

Zajechaliśmy do Wilna na nowoczesne osiedle Fabianiszki. Leży ono na wzgórzu, za starym Wilnem. Białoruska żona Władka przyjęła nas serdecznie. Zwiedzaliśmy Wilno dokładnie. Byliśmy w katedrze, Ostrej Bramie, Domu Kultury, na górze Gedymina. Odwiedziliśmy cmentarz na Rosie, gdzie spoczywa matka Józefa Piłsudskiego oraz serce [marszałka]. Odwiedziliśmy nawet jedną z owdowiałych Polek, która prowadziła zakład nagrobkowy. Wspominam ją jako bardzo miłą i gościnną panią. Prosiła, aby znaleźć jej w Polsce wdowca chętnego do ożenku i zabrania jej do Polski.

W domu kuzyna czekano na nas z trwogą. Domownicy sądzili, że gdzieś pobłądziliśmy. To była moja pierwsza wizyta w Wilnie, a przecież urodziłem się w tym województwie. Wiele łez radości wylałem. Teraz czeka nas droga do Wilejki. Kuzyn wziął urlop aby nas zawieźć do cioci Janki. Serdecznie nas przyjęła. Ciocia była kiedyś u nas w Gorzowie. Teraz ciocia Janka zajmowała się walką o odzyskanie kościoła. Sprzeciwiały się temu władze, które urządziły w nim Dom Kultury i muzeum. Miałem nawet okazję odwiedzenia tego ośrodka. Obejrzelśmy również groby żołnierzy poległych w 1920 roku. Znajdują się one na miejscowym cmentarzu. Miejsce ostatniego spoczynku Polaków było zdewastowane. Służyło jako punkt schadzek ludzi marginesu. Groby [zastępowały im stoliki] do gry w karty lub libacji alkoholowych. Po takich biesiadach pozostawiali połamane krzyże lub [potłuczone] płyty nagrobne. Smutne to było, ale prawdziwe.

Przewodnikiem wyprawy do Postaw była znów ciocia Janka. W trakcie jazdy opowiadała nam o swych przeżyciach, zwłaszcza w okresie okupacji niemieckiej. [W trakcie] przejazdu przez Hruzdowo mówiła o tym, jak Niemcy „znieśli z ziemi” tę miejscowość. Była to zemsta za akcje partyzantkie. Dziś nie widać już tych zniszczeń, jedynie w pamięci ludzi został bestialski postępek niemieckich żołdaków. [Wreszcie] wjechaliśmy na prostą drogę do Postaw.

Serce podchodziło do gardła, jakby chciało mnie udusić. Moje miasto zacząłem rozpoznawać po wjechaniu na most. [Jako dziecko] często stawałem na tym moście i przyglądałem się wodzie, która przy podniesionych

śluzach huczała. [Odnosiłem] wrażenie, że płynę wraz z mostem. Młyn wodny stał na swoim miejscu, pełniąc nadal swą [funkcję]. Wjechaliśmy na rynek pod dom partii, gdzie Władek zaparkował swoje „żyguli”. Zacząłem się rozglądać za swoimi wspomnieniami. Zauważyłem dom, w którym było moje przedszkole. Nie znalazłem jednak „postawskich sukiennic”. Znikły. W tym miejscu stał wyniosły posąg Lenina. Nie było również mojej szkoły. Została spalona. W rynku były dwie cerkwie. Jedna tylko została. Po drugiej stronie rzeki (Miadziołki?) stał i stoi kościół katolicki otoczony rusztowaniami, a więc jest w remoncie. Z boku [świątyni], przy rzece był Grób Nieznanego Żołnierza. Pytam cioci, gdzie on? Zaprowadziła mnie między nowe domy i pokazała żelbetonowy cokół. To tyle zostało! Chcieli i ten cokół zerwać silnymi traktorami, ale nie zdołali go nawet ruszyć z miejsca. Na postumencie znajdował się orzeł, który Rosjanie rozbili.

Idziemy na ulicę Braślawską, z której zabrano nas na Sybir. Łzy wzruszenia same lecą. Wreszcie zobaczyłem, w jakim domu mieszkaliśmy. Daremnie szukałem kogoś znajomego. Domy drewniane na kamiennych fundamentach. Okazały się jakieś małe, jakby wrosły w ziemię. Przy jednym z nich spostrzegłem staruszka, który strugał heblem. Pytam, czy pamięta rodzinę Szeligów. Spojrzał na mnie mętnymi oczami, chwilę wahał się, a [w końcu] kiwaniem głowy dał znak, że nic nie wie. Był to [jednak] mężczyzna, który dostał na przechowanie narzędzia stolarskie po moim ojcu. Zajrzałem do następnego domu, w którym mieszkali moi koledzy Błaszkwicze. Wołam głośno. Odpowiada cisza. Spostrzegłem powybijane szyby zatłkane słomą. Wszedłem do budynku Rodowiczów. Ojciec ich przed wybuchem wojny pracował w małej elektrowni i posiadał pasiekę. Lecz budynek ten okazał się również pusty. Spotkało mnie wielkie rozczarowanie.

Na przystanku zatrzymał się autobus. Przez szybę wyglądał pasażer w starszym wieku. Rozpoznałem w nim znajomego, który przed wojną nas odwiedzał. Krzyknąłem do niego. On również poznał nas. Pomachał ręką, wołając: „jedu do pracy”. Idziemy dalej. Spotykamy kobietę, którą pytamy, gdzie można znaleźć Łowkisów? Byli to Litwini, u których Ojciec często najmował konie. Mama natomiast, jak nas wywozili na Sybir, dała im na przechowanie maszynę do szycia marki „Singer”. Ich syn Władek był moim kolegą. Spytana kobieta wyjaśniła nam, że starzy już pomarli, a Władzik mieszka na ulicy Jeziornej. Po trudach dotarłem do Jeziornej. Tu zaprowadzono mnie pod parterowy dom. Trzęsę się z wrażenia. Po wielu latach mam zobaczyć szkolnego kolegę. Pukam do drzwi, które otworzyła jakaś kobieta. Przedstawiam się. Poprosiła, abym poczekał, aż zawoła męża pracującego w ogrodzie. Patrzą, idzie. Ma tyle lat co ja. Gdy mnie ujrzał,

uśmiechnął się. Było to bardzo miłe spotkanie. Mnóstwo pocałunków i poklepywań. Dopiero teraz żona jego przywitała się. Natychmiast zajęła się kuchnią. Przygotowała wspaniałą jajecznicę.

Było mnóstwo pytań i opowiadań. Ale czasu mieliśmy zbyt mało. Trzeba było [wznieść] toast pożegnalny. Złapaliśmy autobus, który dowiózł nas do rynku, gdzie stał samochód. Ciocia i moja Helena weszły do domu partii, by tam usiąść. Na rynku nie było żadnej ławki. Pracownica [komitetowa] poleciła jednak opuścić partyjne pomieszczenie. Ciocia zganiła ją za brak gościnności. Zgodziła się więc na ich odpoczynek, zakazując poruszania się po obiekcie. Wkrótce zobaczyły nas przy samochodzie. Powiedziały urzędnicze „dowidzenia” i przyszły do nas.

Na rynku wdaliśmy się w rozmowę z jakąś panią. Zapytaliśmy ją, czy zna jakichkolwiek Żydów mieszkających w Postawach. Podała nam adres Żydów mieszkających przy samym rynku. Pukamy i czekamy, aż nam otworzą. Przez uchylone drzwi wyjrzała kobieta. Okazało się, że to żona Gendla Sznejera. Sam Sznejer był ciężko chory. Rozpoznał jednak mnie i serdecznie przywitał, niemal ze łzami w oczach. Zaprosił do pokoju. Ożywił się do tego stopnia, że zapomniał o chorobie. Na stole pojawił się szampan, herbata i wędliny z konserw. Przypuszczał, iż zginęliśmy gdzieś na Syberii. Musiałem opowiedzieć przeżycia mojej rodziny. On skarżył się, że już długo nie pożyje. Podczas wojny był w partyzantce rosyjskiej. Ukazał spory woreczek medali, które otrzymał za zasługi wojenne i powojenne. Z jego rodziny ocalał tylko on i jego siostra Sonia. Mieszka ona teraz pod Kaliningradem. Opowiadał co Niemcy wyczyniali w gettcie w Postawach. Zamordowano w nim jego ojca i braci. Teraz powodzi mu się dobrze.

Moje ciągoty do Postaw i spotkania paru przyjaciół z dziecięcych lat zostały zaspokojone. Kilkoro z nich odwiedziłem na cmentarzu, który rozrósł się. Wszelkie wydarzenia i przemiany na ziemi już ich nie dotyczą. Tylko żywi będą tworzyć dalszy ciąg wydarzeń. Czy będą to dzieje pozytywne, czy negatywne, zależy już od ludzi. Oby już nigdy nie powtórzyły się wydarzenia, które ja musiałem przeżywać, które ludzkości przyniosły tyle cierpienia. [Każdy z nas] winien wiedzieć, iż nie ma na ziemi lepszych czy gorszych ludzi. Wobec Boga wszystkie narody są równe.

Zegnając się z moim kolegą Żydem, który nas serdecznie ugościł, myślałem, jak dobrze stało się, że jeszcze go spotkałem. Chciałem zaprosić go do Polski, ale w jego oczach widziałem kres żywota. Zauważyłem bezsilność wobec praw natury. Widziałem na jego twarzy żal do oprawców, którzy zburzyli życie jego i rodziny. Gdy pokazywał mi woreczek z odznaczeniami za walkę z Niemcami, miałem wrażenie, że chce go zamienić za chwilę przedłużenia życia. Wiedzieliśmy, że już nie zobaczymy się.

Pożegnałem miasto Postawy, w którym spędziłem moje bez troskie dzieciństwo, moje najpiękniejsze chwile. Żegnałem miasto, w którym bez względu na to, czy ktoś jest Białorusinem, Żydem, Litwinem czy Polakiem byliśmy przyjaciółmi. [Opuszczam] Postawy mając 69 lat przeżytych w doli i niedoli. Zesłanie mojej rodziny na Sybir być może przyczyniło się do ocalenia jej większej części. Bo przecież oprócz Ojca i mojej siostry, która w 1939 roku udała się do Warszawy, wszyscy ocaleli. Pamiętam jak w czas wojny ludzie byli mili i dostępni. Potrafili dzielić się dobrami materialnymi. Kochali się i szanowali nawzajem. Dziś to znika. Dziś [Polacy] dzielą się na różne frakcje, na rozmaite poglądy polityczne, siejąc bałagan i spustoszenie. Zamiast jednoczyć się ku dobremu, zasiewają nienawiść, pchają do zemsty za minione krzywdy. Nie chcą przyjąć do wiadomości, że zemstą świata nie naprawią. Ludzie winni dobrem zło naprawiać.

5 marzec 1997 roku

Szeliga Eugeniusz

P.S.

Eugeniusz Szeliga zmarł 19 lipca 1997 roku. Spoczął na cmentarzu komunalnym w Gorzowie. Dopowiedzenia w nawiasach kwadratowych, które są efektem skrótów, poczyniłem za wiedzą Autora, krótko przed jego śmiercią. Przypisy w tekście pochodzą ode mnie

Opracował Wojciech Sadowski